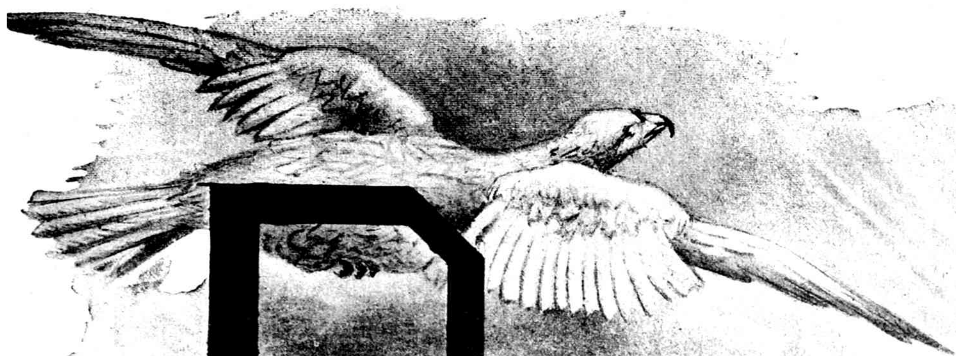
Rok I. We Lwowie dnia 5. marca 1893. **Numer 5.**



PRZEDŚWIT.

DWUTYGODNIK DLA KOBIET

wychodzi 5. i 20. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Szeptyckiego l. 31. — **Adres Administracyi:** ul. Batorego l. 30.

Przedpłata na „PRZEDŚWIT“ wynosi: rocznie 3 złr., półrocznie 1 złr. 50 ct., kwartalnie 75 ct. — **Z przesyłką:** rocznie 3 złr. 60 ct. półrocznie 1 złr. 80 ct., kwartalnie 90 ct. **W księstwie poznańskiem i w Niemczech:** rocznie 7 marek, półrocznie 3 marki 50 fenigów, kwartatnie 1 marka 30 fenigów. — **Numer pojedynczy 15 centów.**

Główna Ajencya dla **Krakowa** i okolicy w księgarni **L. Zwolińskiego**, Kraków, Grodzka 40., w **Poznaniu** w księgarni **A. Cybulskiego.**

SAMODZIELNOŚĆ A SAMOWOLA.

Jednym z najpowszechniejszych grzechów dzisiejszej pedagogii w praktyce, jest rozmijanie się z prawami naturalnego rozwoju. Od najwcześniejszych lat wychowankom nakłada się munsztuki, kagańce, obroże, zapominając o tem, że co dla okiełznania zwierząt i do ich tresury jest dobre, to jednak żadną miarą do wychowania ludzi zastosować się nie da. I stąd to wiek nasz wydaje istoty blade duchowo, bezwolne, nieprzedsiębiorcze, oglądające się na cudzą pomoc.

Czyż to rzadko się spotyka ludzi, co mają po 30 i 40 lat a są jakby dziećmi w powijakach... do niczego. Dzięki takim trutniom, którzy energią posiadają wprawdzie lecz tylko do zawadjactwa, a nie chcą jej mieć do pracy – upada ogólne dobre o narodzie mniemanie, bo na nieszczęście mnożą się tacy, jako zwykle z chwastem bywa — plenniejszy on, niż użyteczna roślina. Skąd to pochodzi?

1-mo Ze spaczonego wychowania.

2-do Z zatraconej ambicyi.

— O wychowanie nam tu głównie chodzi — bo jego to wina jeśli nie daje osobników samodzielnych. Patrzmy jeno na nauczycielkę wszelakiego wychowania na naturę. Co się dzieje z roślina, skrępowaną w malutkiej doniczce, bez światła i ciepła chowaną? Staje się wiotka, blada, nieużyteczna, mija się ze swym właściwym celem. Co czyni orzeł z orlętami, by je zaprawić do szybowania w powietrznych szlakach? Unosi w górę, uczy zataczać koła, w bystrości ćwiczyć oko — ale puszcza je samopas, bo same latać muszą bez niczyjej pomocy, bo wiecznie pisklętami zostać im nie wolno, bo mają posiąść pełnię władzy i królami wśród ptaków urość. Kaczęta puszcza się na wodę, by się same pływać nauczyły; choć im to z początku niezgrabnie idzie — matka nie obawia się o nie, wiedząc że zmysł samozachowawczy utonąć im nie da. Przykłady te dosłownie z natury brać należy. Ciągłe wodzenie na pasku, zniedołężnia. Ciągłe uprzedzanie życzeń i dogadzanie wyrabia bezwzględny egoizm i wielkie wymagania a zabija ochotę do pracy i rzetelne poczucie obowiązku. Nasze czasy wykazują mniej takich niesamodzielnych osobników między kobietami a więcej tego rodzaju męszczyzn

mimo, iż zazwyczaj wychowują dziewczynki nie pozwalając prawie na samodzielność. — Od kiedy wszakże znikła owa prastara powaga ojcowska, odkąd matki zamiast straszyć kominiarzami i cyganami, zaczęły straszyć ojcami, grożąc ustawicznie: „Poczekaj, powiem ojcu“ — „Przyjdzie tatko, to cię oćwiczy! — odkąd ojciec woli wyręczać się pracą wychowawczą matki, nie mieszając się do niczego — synowie zrobili się *samowolni* ale nie *samodzielni*.

Cały zasób wrodzonej energii roztrwania się na pustoty, zwłaszcza gdy hamulca (w osobie ojca) w domu nie ma; — wtedy kijem wali się po stole i po tych, którzy się nawiną pod rękę, rozbija się butelki, kamieniami celuje do szyby, rozrzuca umyślnie poskładane przedmioty — płata się psikusy prostackie i nieludzkie prawie — a gdy powróci surowy ojciec — wtedy matka często dla świętego spokoju zamilczy co synalek robił — a synek cicho siedzi jak trusia i bębni grekę lub łacinę zadaną (pewno jeszcze z ubiegłego tygodnia.) Ten widok obłudnej pilności rozbraja obojga rodziców.

Miesiące i lata płyną, chłopak wyrasta nie w męszczyznę wprawdzie, nie w człowieka, ale w rozbójnika *de facto*, albo salonowego lub domowego w ogólności, truje życie tym, z którymi stosunki go łączą, marnotrawi ich zdrowiem, siłą, życiem, do których nigdy, nikt nie ma prawa, choćby był najbliższymi węzłami pokrewieństwa złączony. — W innym wypadku, gdy dogadzacie chłopcu, uważacie, by mu na niczem nie zbywało, by go o nic głowa nie zabolała, wyrośnie tyran samowolny a niedołęga pod względem społecznym.

Pszczoły takich trutniów zabijają — społeczeństwa nie, owszem pozwalają takim innych zabijać trucizną swego przykładu, braku zasad, pomiatania dziś tem nad czem się wczoraj unosiło, a podnoszenia dla kaprysu lub przypodobania się komu, tego co się przed godziną zdeptało. Ale skąd się biorą te potwory? Oto chybiono dróg wychowania, chcąc im dać *samodzielność* dano *samowolę*.

A gdzież granica między jednem a drugiem?

Oto samodzielność, to jak sama etymologia tego słowa wskazuje, zezwolenie na *samoistne działanie*, na energią pracy, na odwagę czynu, na zabranie się do dzieła, do którego pierwszy raz jeszcze nieśmiało się rękę przykłada, aby nabrać wprawy i pewności siebie. *Samowola* — to zezwolenie wychowankowi, aby miał we wszystkiem *swą wolę* a pamiętać należy, że młoda ta wola nieokiełzana, w karby nieujęta, z pewnością dobrym torem nie pójdzie. Stara to prawda: „*Owoc zakazany, ostrzejszy smak rodzi, nie dlatego, że smaczny, lecz że się nie godzi!*“ —

O tem wszystkiem pamiętać należy nam, szczególniej, którzy przecież więcej niż wszystko na świecie, niż życie własne, kochamy przyszłość. A którażby z Polek nie zechciała w imię przyszłości swej Ojczyzny, zadać sobie wiele trudu, aby tylko dać narodowi członków zdrowych i użytecznych?! Co nam po wszystkiem, jeśli nasi bliscy, nie będą również bliscy Ojczyźnie „*Do mężnych należy świat!*“ — wyrzekł niegdyś wódz Gallów. - Prawdę rzekł. Mężnych synów, dzielnych córek potrzebuje Ojczyzna nasza. Do mężnych tylko należy ona i tylko, mężni jej przyszłość zdobędą.

Ojcowie i matki! Wychowawcy i wychowawczynie — pamiętajcie, iż błądzicie, narzucając waszym synom swą wolę pod względem obrania zawodu, jeśli syn uzdolniony do nauk, a wy mu buty robić każecie, błądzicie gdy każecie mu być artystą, jeśli ma widoczne powołanie na kamieniarza, córce każecie być nauczycielką, gdy ona ogromną zręczność okazuje do szycia, a krawczynią gdy niezwykle uzdolniona w muzyce — lecz również błądzicie, zostawiając dziecku wolność zupełną w dogadzaniu jego zachciankom głupim — kaprysom chorobliwym. W pracy nie wodźcie go na pasku, niech własnych sił probuje, ale w wyborze zabawy, rozrywki pilnujcie — ale wybryki karćcie surowo i nauczcie wolę waszą szanować rzetelnie. Mężnie, z konsekwencyą, rozumnie, naturalnie wychowywać, bez odrobiny ślamazarności, bez słabostek tych, co to z miłości źle zrozumianej płyną — a uniknięcie zboczeń — dacie społeczeństwu pracowników — a nie bezrobów — rycerzy ducha — a nie niedołęgów królów woli i czynu — a nie błaznów. Pamiętajcie, że, o tych, których dziś wychowamy, w pół wieku, dzieje powinny powiedzieć z chlubą:

„Takich Polska miała synów“ —
„Takich wodzów sprawa święta!.“

Aleksota.

Klaudyna Potocka.

(*Ciąg dalszy*).

W owym czasie bawił także w Dreźnie Adam Mickiewicz i przyjaciel jego, młody poeta, Stefan Garczyński. Piersiowa choroba nękała Stefana, lekarze poradzili mu wyjazd do Szwajcaryi. Adam pielęgnował go troskliwie wespół z Klaudyną a gdy był zmuszony Drezno opuścić, pozostawił przyjaciela swego całkiem na opiece tej przezacnej Polki. Klaudyna jak matka pielęgnowała chorego i wywiozła go do Beks w Szwajcaryi, a później do Awinionu. Tam znowu Mickiewicz zajął się losem drogiego przyjaciela. Garczyński niedługo już tu chorował. Niebawem (w r. 1833) na rękach Adama i Klaudyny wydał ostatnie tchnienie. Wieszcz przyjaciel i Anioł emigracyi, oni oboje, którzy go otaczali taką troskliwą opieką i takiem serdecznem darzyli uczuciem, opłakali łzami rzewnymi zgon przedwczesny utalentowanego poety, autora „Dziejów Wacława“ oraz „Pieśni obozowych, sonetów i obrazków“. (Są to hymny i echa z naszej walki o niepodległość, w której i on sam brał czynny udział.) Pierwszy to z poetów, który ideę narodowego boju wcielił w poezyą, on pierwszy uderzył w akord nadziei nowych, ukochania dróg nowych, pod jego ręką w poezyi zabrzmiała nowa, dotąd nietknięta przez innych mistrzów struna lutni nowej ery, bojowania o święte prawa narodowe, o sprawiedliwość pogwałconą w obliczu całej obojętnie milczącej Europy.

Klaudyna, krzepiąc się ciągle nadzieją, że nadejdzie pożądana chwila zbawienia Ojczyzny.

wspierała z tą wiarą wszelkie do tego celu zmierzające przedsięwzięcia i pomagała do ich urzeczywistnienia. To też gdy wygnaniec Zaliwski a później Szymon Konarski z towarzyszami wracali do kraju, aby apostołować ideę zrównania szlachty z ludem, słowem wszystkich stanów, aby ich potem zjednoczonych już, do oporu przeciw przemocy moskiewskiej powołać, z radością udzielała im swego błogosławieństwa, do wytrwania zachęcając i rad światłych nie skąpiąc. Jakąż błogą zachętą był ten krzyżyk błogosławieństwa, wielkiej, przezacnej niewiasty polskiej dla emisaryuszów. Wiódł on ich do kraju rodzinnego i tchnął w duszę niemały zapas wiary w godziwość i sprawiedliwość podejmowanej sprawy. Klaudyna zamieszkała od r. 1833 w Genewie, nie przestając wspierać z całej duszy swych współbraci. Ona była, rzec można, tą srebrną nicią przędzy, łączącej kraj ojczysty z ziemią wygnania. Ona spajała serca pozostałych w kraju z wychodźcami. Gdy w celach takich t. j. łączenia usiłowań emigrantów z pracami rodaków w kraju zamieszkałych, udała się w poznańskie, natychmiast wytropił to rząd, przytrzymać ją kazał i do szwajcarskiej granicy odstawić.

Zmuszono ją więc do powrotu do Genewy i przeszkodzono porozumiewaniu się jej z rodakami. Zniosła i to mężnie, jak znosiła wszystko inne, ale gdy się dowiedziała o smutnym końcu usiłowań Konarskiego i jego męczeńskiej śmierci (o rozstrzelaniu go przez Moskali dwunastu strzałami dnia 27. lutego 1839 w Wilnie, za Trocką bramą) okryła się grubą żałobą, której nie zrzuciła już do końca życia. Wtedy to czarną suknię przywdziawszy, uciąwszy swe piękne włosy, oddaliła wszystkie swoje sługi, od świata oddzieliła się samotnością, wzgardziła wszelkimi przyjemnościami i po klasztornemu niemal urządziła swe życie. Cześć, cześć takiej zakonnicy narodowej, która Bogu i Ojczyźnie wszystko oddawszy, ostatnią z własnej osoby niesie ofiarę i modlitwą nie przestaje błagać Pana nad Pany, o zmiłowanie dla swych sióstr i braci, dla ludu swego. Ale wkońcu po tylu przebytych burzach, trudach i cierpieniach, po zmartwieniach ciężkich, siły zaczęły opuszczać Klaudynę, zwłaszcza że jeszcze od pobytu w Dreźnie chorować zaczęła. Tam już zauważyli jej przyjaciele, że mizernieje, niemal z każdym dniem. Sama, także spostrzegła, że jej zdrowie ucieka, że wygląda źle i to coraz gorzej. To też razu jednego powiedziała do przybywającego w odwiedziny do niej Mickiewicza.

— Patrz pan, co się ze mną stało: Skóra i kości!

— Nie pani, — podchwycił z zapałem wieszcz polski — kości i dusza!

W rzeczy samej, chociaż ciało omdlewało, dusza nie przestała być w niej ochoczą do ostatka. Duch jej i w najczarniejszych życia chwilach skrzydeł nie łamał, nie opuszczał, nie zniżał. A nawet wtedy, gdy już w niej samej gasło życie, wskrzeszała je ona w duszach swych najbliższych z otoczenia i przyjaciół, żywą nadzieją, niewyczerpaną potęgą swej wiary i zapału, umiała nawet najbardziej zwątpiałych ożywić, tchnąć w ich dusze pogodę i znowu nauczyć cenić to, co im się błahem wydało na nowo wierzyć w to, co u nich wiarę utraciło.

Tak, kobieta ta umiała wskrzeszać duchowe życie w piersiach ludzkich Przyjaciółkę swą, Elizę Radziwiłłównę zachęcała ciągle do pielęgnowania swego własnego zdrowia, do szukania spokoju, do używania całej potęgi swej silnej woli, bo wolą to przełamuje się wszystkie, najcięższe nieraz bole i cierpienia. Stawiała jej nawet siebie samą za przykład, gdyż prawdziwego nabrała w tej mierze doświadczenia i czuła to sama, iż śmiało pod względem hartu, drugim służyć mogła za przykład.

— „Przecież i mnie żadne ułudy szczęścia z życiem nie wiążą — pisze do księżniczki Radziwiłłówny — a czuję najmocniej, że byłabym umarła gdyby nie siła, którą daje przeświadczenie obowiązku. A któż wzdychać może — pisze dalej — za spoczynkiem, dopóki czuje w sobie zdolność otarcia choćby jednej łzy?“...

Co za przepiękne słowa! Złote, cudowne prawdziwie! Wyryćby je należało na każdem sercu ludzkiem, na ścianach każdego pokoju kobiecego — i często, bardzo często je powtarzać. — W nich hart, krzepkość i poczucie celu życia.

Choroba Klaudyny, coraz to się wzmagała, wycieńczenie sił było zbyt wielkie, aby rozwój choroby można powstrzymać. Mimo choroby jednakże nie przestaje się interesować sprawami narodowymi, a nawet nieraz jeszcze sama nimi zawiaduje. List do jenerałowej Małachowskiej pełen jest tej szlachetnej troski o losy narodu. Pisze o Polakach, znajdujących się w Szwajcaryi, że większa ich część zamierza udać się do Francyi, tembardziej, że Francuzi przeznaczyli im na drogę pewien fundusz. Inna część emigrantów miała pozostać w kantonie Vaadt, gdyż tam ofiarowano im całe utrzymanie, dzięki hojności mieszkańców tego kantonu. „Inni jeszcze — donosi Klaudyna w liście do Małachowskiej — obrali sobie gorzki chleb tułaczy, z którego stale utrzymywać się myślą. W Genewie wszyscy pracują, piękny przykład dając. A dalej pisze jej o sobie: „Zdrowie moje, czyli raczej choroba nie pozwala mi się z nimi widywać, jakbym sobie tego życzyła. Każde wzruszenie okupić muszę bolami okropnymi; a jakto naszych szlachetnych i nieszczęśliwych braci z obojętnością widywać? Gdybym cierpieniem mojem, choć jedną łzę otrzeć potrafiła, o jakże chętniebym się im poświęciła. Jeden z nich z nami jada i prawdziwą jest mi pociechą, gdyż przez niego wiem o drugich“.

Gdy to pisała, była już do tego stopnia chorą, że tylko przenosiła się czasem z łóżka na kanapę i to był jej jedyny ruch, jakiego używać jeszcze mogła, zresztą przykutą była cierpieniem do łoża. Hart jej duszy był niesłychany, przytem niesłychana czułość, wykształcenie wielkie, głęboka inteligencya i intuicya żywa a pełna uczyniły ją jedną z najsympatyczniejszych, najbardziej wielbionych i najczcigodniejszych Polek. — Żadne nieszczęście, ni tułaczka, ani inne bolesne ciosy nie zdołały zabić tych przepięknych przymiotów umysłu i serca.

(Dokończenie nastąpi.)

NA CMENTARZYSKU.

NOWELA

E. ZORJANA.

Nad srebrną Wisłą czerwcowe słońce złociło dalekie rozłogi pól, niw obfitych, lasów, piasków, miast i siół. Jasne jego strugi płynęły w parze z Wiślaną falą ku wiosce cichej, rozkosznej, marzącej tuż przy starem cmentarzysku, opustoszałem, zakamieniałem...

Jeden tylko srebrnowłosy starzec ożywiał martwotę tej krainy zmarłych, on jeden siadywał przy bramie, chodził wśród sterczących kamieni i niekształtnych, półzapadłych mogił. On jeden tu był żyjącą istotą. Chyba czasem, jak w tej właśnie chwili, ludzie wyszedłszy na długą swobodną pogawędkę aż o cmentarz żydowski utknęli. Drogą, wiodącą od dworu szło dwoje młodych jak wiosna. Musieli jednak mówić o czemś bardzo poważnem i snać niewesołe mieli myśli, bo przez młode twarze przeciągały chmury smutku przelotne, przerywane muskaniem promieni słońca i radości.

A dokoła widok roztaczał się wspaniały. Ziemia do drzemki się zabierała, sosny szumiały na cmentarzysku, na pagórku na białej brzozie świegotały ptaszki, jakby podawały sobie niedawno zasłyszane słowa miłości, wyrzeczone cicho, gorąco a szczerze przez tych dwoje młodych, którym przyszłość tylko nie zbyt słoneczna stawała przed oczy.

Zamilkli i patrzyli przed siebie.

Chmury goniły się po niebie, wiatr smętnie szumiał w konarach sosen, słońce dumne i wspaniałe kłoniło się ku zachodowi, blaski oblewały horyzont, ciemniejąc szybko.

Młody mężczyzna odetchnął głęboko, stłumił westchnienie, dłonią przetarł czoło i spokojnym na pozór głosem wyrzekł:

„Kochać nie wolno, zapomnieć trudno,
A w sercu łzy i łzy...“

Powstał, ujął ją za rękę, potrzymał chwilę, potem do ust przycisnął gorąco.

— Bądź zdrowa — wyszeptał.

— Mój drogi....

Ten głos miękki, ciepły, serdeczny odebrał mu siły.

— Boże — zawołał — dlaczegoś mię stworzył poetą, dlaczegoś w pierś włożył serce tak gorące, które rwie się ku ideałom, zamiast cicho, ślimaczo siedzieć w głębi klatki z kości i mięsa. Lepiej by mi było, gdybym był został kupczykiem lub rzemieślnikiem. Żyłbym jak żyją miliony, spokojny o chleb powszedni. Pamiętam, kiedym mojej dobrej matce przyniósł pierwsze me utwory drukowane, pokiwała smutnie głową. W nocy słyszałem w jej pokoju płacz cichy i gorącą modlitwę. Nie rozumiałem tego wtedy. Łzy matki bolały mię i gniewały zarazem. Pracowałem wiele, dnie i noce i z jakąż radością, po całorocznem rozłączeniu śpieszyłem do niej, aby powiedzieć; patrz żyję z własnej pracy i póki życia starczy, będę stał o własnych siłach. Wszakże dziś płacą nam za pracę, jeśli nie na wagę złota, to jednak tyle, aby z głodu nie umrzeć. Przekonałem matkę i to mię cieszyło; odtąd spokojną jest o mnie. Dziś.... stara zwrotka na nowo się zaczyna. Chwalą me prace, wierzą w iskrę bożą, wierzą nawet w miłość moją,.. tylko uwierzyć nie chcą, abym mógł wyżywić żonę...

Ona patrzała mu w oczy spokojnie, łagodnie całą miłość w tem spojrzeniu wypowiadając. Objął ją i przytulił do siebie.

— Biedna ty moja...

— O, nie, jam szczęśliwa.

— Gdybym mógł wierzyć, że nią jesteś!

— Nie wątp.

— Dzisiaj. Jutro cię uwiozą daleko, nie będę cię widział, chyba w snach i marzeniach. Gdybyś mi powiedziała, że zdala odemnie, z kim innym będziesz szczęśliwą, zniósłbym to rozłączenie z bolem a jednak spokojnie. Kocham cię, — w tem mieści się pragnienie szczęścia twego, choćbym miał na nie patrzeć tylko zdala. . . .

— Nie mów tak, proszę cię.

— Chodźmy, już późno.

Ręka w rękę szli powoli, rozsuwając gałęzie. Wysunęli się przez wyłom w parkanie, a starzec, co ich dziwnie ciekawym wzrokiem śledził z cmentarza, widział jeszcze długo dwie ciemne postacie na żółtej płaszczyźnie piasków.

Oni szli milcząc ku domowi, który zdala wyglądał z pośród rozłożystych drzew. Dworek to był mały, cichy, biały, jakby umyślnie przeznaczony na schronienie dla zakochanych. Gdy się zbliżyli do ganeczku, powitała ich poważna staruszka.

— Byłam już o was niespokojna; tak długo bawiliście.

Młodzi ucałowali jej rękę.

— Niech się babcia nie gniewa. . . .

— Nie gniewam się, moje dziecko, nie — i tuliła jasną główkę dziewczęcia, a w oczach miała łzy.

Usiedli we troje na ganeczku, milcząc.

— Biedni! szepnęła staruszka sama do siebie — tacy młodzi, życie piękne przed nimi, a smutek świat im zakrywa. . . .

— Nie smućcie się, moje dzieci. Bóg łaskaw nie opuszcza nikogo; jeszcze i wy będzieci szczęśliwi.

— O gdyby się słowa pani sprawdziły! — zawołał młodzieniec, a w czarnych oczach zapaliły mu się blaski nadziei.

— Tylko nie rozpaczaj, mój chłopcze, bądź spokojnym, poczekaj, czas wszystko zrobić może.

Całował ją po rękach.

— A teraz, wybacz, że ci przypominam, czas w drogę. . . .

Powstał. Ręce jego splotły się z dłońmi ukochanej. Patrzali na siebie smutno, oczami się żegnając. Staruszka poszła do pokoju.

— Bądź zdrowa, Maniu moja, pamiętaj o mnie, pamiętaj, że w złej czy dobrej doli, blisko czy daleko, ja cię zawsze jednakowo kochać będę. . .

Skłoniła głowę ku jego piersiom, tuliła się, jakby to było pożegnanie na wieki.

— Ja ciebie nigdy nie zapomnę. . .

Przycisnął gorące usta do jej czoła i w ciszy wieczornej słychać było gwałtowne bicia dwóch młodych serc, dla siebie stworzonych, które ręka ludzka dzieliła, może na zawsze.

Usłyszeli turkot bryczki, zajeżdżającej z drugiej strony dworku. W drzwiach ukazała się babka.

— Żegnam panią. . .

- Nie, nie, panie Tadeuszu, stara jestem, nad grobem, a żegnać cię nie chcę, zobaczymy się, może niebawem. . . tylko bądź spokojny. . . . jeśli Manię prawdziwie kochasz.

— Dziękuję za serdeczne słowa pociechy, będę dopóki potrafię. . . . serce silniejsze od woli i rozumu.

— Bądź dobrej myśli, może mi się uda dla was co zrobić. Niechno tylko jej ojciec przyjedzie.

Woźnica potrzaskiwał z bata, konie grzebały ziemię. Czas było w drogę, aby się na pociąg nie spóźnić.

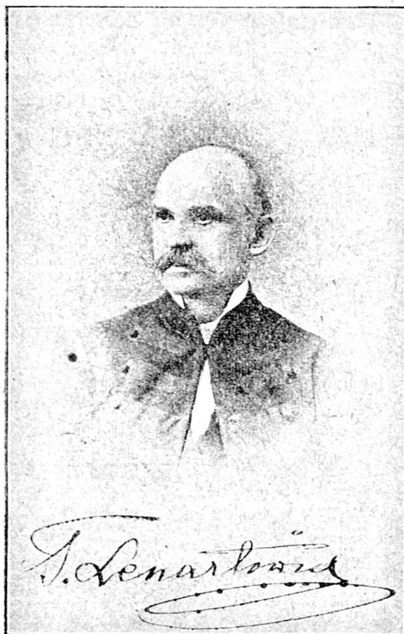
W milczeniu pożegnali się. Konie ruszyły z kopyta. Tadeusz patrzał na uroczy obraz, do którego serce mu się rwało konie unosiły w dal.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



DO TEOFILA LENARTOWICZA

(podczas pobytu jego w Krakowie w r. 1875.)



Witam Cię mistrzu! Obce Ci me miano,
Lecz jam nie obca! Tony Twej „Lirenki“
Grają mi w sercu nutą dobrze znaną,
I pieśni Twoich ja wszystkie znam dźwięki

Jam Ci nie obca! Wraz z Tobą się korzę,
U stóp tej Matki, która z Ciebie pychę,
I na skroń bierze nowych blasków zorzę,
A we mnie tylko dzieciątko ma liche.

Jam Ci nie obca! U tej samej Pani,
W służbę my z młoda wpisani oboje,
Ja — miłość tylko w chętnej niosę dani,
Ty — pod jej sztandar piękne składasz znoje.

Jam Ci nie obca! Z nad Wisły wygnany,
Wśród winnic tęsknisz za sosen zielenią,
Ja na pszeniczne całkiem patrzę łany,
Wiślane fale w słońcu mi się mienią.

I słucham borów sosnowych pacierzy,
Polskim szeptanych mogiłom... a przecie
Ten ciężar bólu, co pierś twoją gniecie,
I w mojej, Mistrzu, ach! kamieniem leży!

I znać to po nim poznajem się wszyscy,
Choć niby obcy -- żeśmy sobie bliscy!

T. Prażmowska.

Wiersz ten niedrukowany dotąd zamieszczamy, sądząc, że oddamy przysługę tym, którzy radzi zbierają wszystko, co się odnosi do zmarłego poety; niech wskrzeszenie tej pieśni, którą słyszał, będąc w grodzie Krakusa, będzie mu uczczeniem i przypomnieniem miłej ziemi ojczystej.



TEATR.

Zawitała wreszcie długo oczekiwana „Balladyna“ na scenę lwowską, — D. 27. lutego grano ją po raz pierwszy, a nazajutrz posypały się recenzye dziennikarskie — z których mało które dowodziły, ocenienia należytego sztuki i gry artystów, inne obrażały „Balladynę“ jakby nie pomne, że piszą o dziele Słowackiego, wielkiem, natchnionem, mistrzowskiem. I tak jedna z recencyj więcej niż połowę całej objętości artykułu poświęca zachwytom nad światłem elektrycznem wprowadzonem tego dnia jako nowość do teatru hr. Skarbka — w drugiej, mniejszej części są jeszcze reminiscencye do owego światła a parę wierszy końcowych obejmuje recencya ze sceny, ale jaką! Drugie pismo codzienne, mniej jeszcze patriotyczne, niż poprzednie — cieszy się wprawdzie że wyciągnięto jakąś typową tragedyą „naszą“ — ale przez cały artykuł drga osobista stronniczość w zachwalaniu „drewnianej“ Aliny (bo taką ją odtworzono mimo woli Słowackiego, który stworzył typ niewinnej, szczerej dziewczyny,) a rozmyślnem pomijaniu zasług znakomitej interpretacyi *Wdowy*. Tenże sam recenzent twierdzi, iż Kirkorowi *„do twarzy“* było z husarskimi skrzydłami... może do „ramion“ a nie do twarzy — ale cóż to za ocenianie?! Czyż tem samem nie rozmija się recenzent z właściwem zadaniem sceny? Kto wie zresztą, czy pisząc rzeczy czysto osobiste a banalne — wiedział kiedykolwiek o tem, iż o głównych sztuki motywach, o najwybitniejszych punktach akcyi, o barwie tragedyi mówić mu należało, że oceniać

powinien kreacyą a nie przez sprawozdanie dawać folgę swym sympatyom i antypatyom. Wznowienie „Balladyny„ przecież nie było faktem zbyt powszednim — czekano jej zjawienia się z upragnieniem, raz po raz tłumnie pośpieszyła publiczność na przedstawienie, nie zostawiając ani jednego miejsca wolnego. Klejnoty twórczości Słowackiego, nie obniżą nigdy swej wartości do szklanych paciorków, w jakie dekorują teatr takie n. p. niesmaczne „Teście“ lub „Wejścia w świat“; — postacie same mogłyby się przeżyć, kobieta Słowackiego w niczem niepodobna do dzisiejszej, idącej z całą świadomością do swych celów, szukającą wiedzy nie wyzuwając się przez ten postęp wszakże ani ze swej godności kobiecej ani z serca... — mogłyby się przeżyć, gdyby nie była wyrażeniem dosadnem pewnej cnoty lub zbrodni — gdyby nie to, że do jej akcyi dostraja się otoczenie mimowolnie, porwane urokiem tej świętości lub omotane siecią czarnych czynów. Taka fantastyczna „Balladyna“, wyrosła z legendy ludowej, pomimo wszystkich akcesoryów fantazyi — pozostanie zawsze żywym, dosadnim obrazem wielkiej prawdy, głoszącej światu od wieków, że „złego czynu przekleństwem jest to, iż on sam coraz gorsze czyny rodzi“ — jakoteż i to, że sam w sobie niesie karę dla winowajcy. Ale choć to rzeczy proste, wiele realistów chce widzieć tylko w piorunie, zabijającym Balladynę, karę za jej zbrodnie, nie chce zaś pojąć całej okropności tortur moralnych, gdy zbrodnie jej własne stają przed oczyma jej, w skargach przed trybunał zanoszonych. Zamało patrzymy na procesa psychiczne, a te jedynie pozwalają do głębi sztukę pojąć i przeniknąć a co zatem idzie i grać z należytem przejęciem. Artysta nie powinien tak dalece zawierzać swej sławie i talentowi, żeby zapominać, iż mu psychologiem być należy — zwłaszcza w Słowackim, tam w każde zdanie wgłębić się należy, aby nie popełniać takich błędów w dykcyi, któreby zdradzały, że nie pojęto znaczenia, często bardzo powszednich myśli, — zwykłych, najzwyklejszych jak np. „*Ot właśnie! Pan poi konie na drodze po prostu*“ — słyszeliśmy to wypowiedziane, jakoby oznajmienie, podczas gdy to ma być ironia, iż pan by koni nie poił po prostu, przy drodze. Wszakże w tej samej chwili ten pan puka i powiada, że mu się koło złamało — a więc nie dla pojenia koni się zatrzymał. — Dalej postać strasznej siostry powinna mieć przecież coś w sobie demonicznego — a nie jeno przerażenie, zawsze przerażającymi okrzykami się objawiające itd. Błędy podobne wynikają jedynie z tego, że się w sztukę nie wnika. Ile razy granie dochodziło do tej samej siły, jaka leży w samejże istocie tragedyi Słowackiego, w teatrze panowała cisza najzupełniejszego wsłuchania się — gdzie tylko granie nie wyrażało należycie tkwiących w sztuce myśli — objawiało się w słuchaczach jakieś mimowolne roztargnienie. Takie przyjmowanie sztuki przez widzów — lepszą zdaje sprawę niż setne recenzye — ono również dowodzi pietyzmu dla wieszcza z naszej narodowej tryady — i zrozumienia go ile razy uwydatniono jego siłę twórczą i potęgę akcyi. *St. R.*

— W pierwszych dniach marca komitet budowy pomnika A. Fredry urządzi przedstawienie złożone z wyjątków, z 12 sztuk niezrównanego komedyopisarza. Będzie to prawdziwem uczczeniem jego pamięci i dowodem zamiłowania sztuki — jeśli tylko wszyscy zrozumieć zechcą, że dla zasług tego męża godzi się także coś poświęcić, udowodnić, jak go wysoko cenimy i jak kochamy nieśmiertelnego twórcę komedyi polskiej.

OD „KOMITETU POLEK“

zawiązanego na rok 1893.

Szeroki oddźwięk, jaki „Głos Polek ze Lwowa“ znalazł między kobietami, służy jednym dowodem więcej, że najsilniejszą struną w duszy kobiety polskiej jest — jak po wszystkie czasy — miłość Ojczyzny i z miłości tej wypływający żal krwawy nad Jej upadkiem.

Ale — im więcej gorących serc uderza zgodnem tętnem, im więcej zacnych dłoni wyciąga się do wspólnej pracy, tem większą staje się odpowiedzialność tych, którym wola zbiorowa powierza władzę wykonawczą. Komitet zdaje też sobie dokładnie sprawę z trudności swego zadania i wie, że godnie odpowiedzieć mu zdoła wówczas jedynie, gdy będzie wspólnie myśleć i działać. W tym celu śpieszy i dziś ze sformułowaniem myśli przewodniej, z wypowiedzeniem poglądów, jakie kierować będą jego działalnością.

Łącząc się do pewnego stopnia z „Towarzystwem Oszczędności kobiet“ komitet pragnął wszelako zachować swoją autonomią, swoją odrębną działalność, aby zaznaczyć tem wymowniej i dobitniej żałobną rocznicę, która go powołała do życia. Powstał on „nie z roli i nie z soli, lecz z tego, co boli“ i jako wyraz zbiorowy tego bolu, który jest zarazem dowodem żywotności i siły naszej moralnej, posiada prawa i warunki do samodzielnego istnienia.

Wychodząc z założenia, że stawianie od razu szerokich programów, które w większości wypadków pozostają martwą literą, wpływa jak najgorzej na ogół, osłabiając zaufanie we własne siły i energią, komitet zakreślił sobie skromne pole działania: 1) Pouczanie ludu wiejskiego drogą rozpowszechniania po wsiach dziełek historycznej treści, zwłaszcza z epoki porozbiorowej, 2) umożliwianie ubogiej wiejskiej dziatwie szkolnej uczęszczanie do szkół przez dostarczanie stosownego ubrania.

Oto i wszystko na początek.

Ale początek ten — w miarę rozwoju sił i środ-

*) Niech odezwa ta będzie niezbitym dowodem, iż kobiety w społeczeństwie naszem, idąc drogą postępu, nie rzucają się na żadne skrajności, ale wstępując na coraz wyższe szczeble ducha i wiedzy, nie pozbywają się temsamem (jak chcą niektórzy) najszlachetniejszych uczuć, obywatelskich. Zajrzeć w najgłębsze rany społeczne i leczyć je własnem staraniem i coraz to nowemi zdobyczami wiedzy — to postęp, godny polskiej kobiety. — Robimy tylko jedną uwagę, czy nie byłoby użyteczniej już istniejące stowarzyszenia całą duszą popierać i umożliwiać im dopięcia raz wytkniętych, a bardzo szlachetnych celów, — zamiast rozstrzeliwać usiłowania i rozdrabiać działalność. Wszak jest tyle stowarzyszeń: Dobroczynności, Oszczędności, Oświaty, Pracy kobiet — które jako nowość entuzjazmowały a gdy już spowszedniały — przestano myśleć o nich. Gromadą więc do nich zacne Panie! gromadą! Poprzyjcie je, złączcie się z nimi, aby dopięły swego założenia, a tym sposobem udowodnicie, że się nie zabawiacie, ale działacie. O robotnicach, o szwaczkach pomyślcie, chrońcie je od nędzy i upadku, zgromadźcie je w dużej pracowni Stowarzyszenia Pracy kobiet — dla ludu, jego oświaty i dobrobytu niemało zrobiło Towarzystwo oszczędności kobiet — gromadą więc do niego, by mu świeżymi zasobami być bodźcem do nowych czynów a **grobowa rocznica stanie się kolebką nowego życia**! *(Przyp. Red.)*

ków — stanie się zawiązkiem dalszej pracy, którą w przyszłości ogół Polek obejmie.

Do pracy więc, siostry Polki! Do pracy z całym zapałem, jaki ożywiał ofiarne nasze matki, z całą świadomością myśli, bolesnem doświadczeniem zdobytej.

Do pracy dla rozjaśnienia mrocznego „dzisiaj" i dla pomyślniejszego jutra, którego światła i cienie — w części przynajmniej — z naszych prac lub bezczynności, z naszej energii lub braku woli wypłyną.

Wkładki miesięczne na powyżej wymienione cele odbiera i bliższych szczegółów udziela skarbniczka komitetu p. Stanisława Grossówna, Rynek l. 3. III-cie piętro, każdego czwartku od godz. 2—4 popołudniu.

Adres przewodniczącej komitetu: p. Bronisławowa Dulębina, ul. Dąbrowskiego l. 5.

Wiadomości bieżące.

W Warszawie zawiązał się komitet pań, przygotowujących prace Swe na wystawę do Chicago. Najdotkliwszem jest to, że na czele jego stanęła Marya Andrzejewna, to też cokolwiek przez jej ręce wyślą Polki, zaliczają tam do działu rosyjskiego a chodzi o to aby mieć odrębny swój dział, *polski* na wystawie.

Oby starania w tej mierze pomyślnym były uwieńczone skutkiem. Najszczytniejszem dla Polek z pod zaboru dziełem jakie tam przygotowują będzie niezaprzeczenie zbiorowa książka, przdstawiająca prace i starania obywatelskie kobiet — nad którą najznakomitsze siły obecnie pracują.

Czy nie godziłoby się i u nas wytworzyć podobnej spółki, w celu przygotowania czegoś na wystawę **powszechną we Lwowie w r. 1894.?**

W Nowym Jorku założyła *Mis Dunlaps-Hopkins* praktyczną szkołę malarstwa *dla kobiet*. Kurs nauki rozpada się na dwa działy. Jeden obejmuje rysowanie planów, modelowanie, ornamentykę i malowanie.

Drugi: rysunki, stosowane do wyrobu dywanów, tkanin, dywanów, oraz rysunek budowniczy. Dalej uczą malowania na szkle, kretonach i t. d. Praktycznej tej nauce towarzyszą także wykłady teoretyczne. Trwanie nauki nie jest ograniczone a zależy od pilności i zdolności uczenic. Fabryki tapet i dywanów, potrzebują bardzo w tej gałęzi wykształconych kobiet również architekci płacą dobrze za owe rysunki.

Profesorami i nauczycielkami w tym zakładzie są specyaliści, przemysłowcy, zajęci w fabrykach, i w biórach budowniczych.

Szkoła niesie korzyść uczenicom, bo czas nauce tej poświęcony nie jest zmarnowany, jak się to z tego okazuje, iż po ukończeniu takich kursów łatwo znaleźć zajęcie, dobrze wynadgradzane i poszukiwane.

W Ebenburgu, w Badenie z inicyatywy W. księżnej badeńskiej została założoną szkoła pszczelnictwa dla pań. Księżna i ministeryum utrzymuje i wyposarza ową szkołę.

W Warszawie założono w lutym *„Przytulisko dla szwaczek"* — o którem obszerniejszą wzmiankę później podamy.

Kilku członków warszawskiego *Towarzystwo dobroczynności,* postanowiło założyć tanią rest auracyę, wyłącznie dla kobiet biedniejszych. W niej za dość niską cenę będą wydawane obiady dla nauczycielek, kasyerek, buchalterek i t. d. i t. d.

Miło zanotować nam z dziejów polityki, fakt, iż Stany Zjednoczone po lichej prezydenturze, mają znowu szlachetnego prezydenta, godnego następcę Waszyngtona. Jest nim Cleveland. Wedle zwyczaju każdy nowy prezydent składa przysięgę na biblią nową, nieczytaną przez nikogo. Cleveland wbrew temu, żądał pozwolenia przysięgi na biblią swej *Matki*, na której go ona czytać modlić się i być szlachetnym nauczyła.

Kto tak Matkę czcić umie, ten narodowi potrafi ojcem być, ojczyźnie najpierwszej z Matek chlubą.



Rozwiązanie zagadki z Nr. 4-go.

K A N T

Rozwiązanie zagadki „DIAGONAL."

A	g	r	y	p	i	n	a
A	g	r	o	n	o	m	i
P	e	r	s	t	e	i	n
O	r	d	y	n	i	e	c
A	n	t	i	p	a	p	a
W	o	r	o	n	i	c	z
O	s	z	m	i	a	n	a
A	g	r	y	p	i	n	a

KORESPONDENCYE REDAKCYI.

Pani Oldze L. w Rymanowie, — „Widzenie" — udatne w stosownym czasie pomieścimy — teraz nawał materyału bieżącego nie pozwala. — Prosimy o pamięć.

Pani L. Z. ze Lwowa. Bardzo prosimy i oczekujemy gorąco.

Pannie Józefie O. w Sielcu. Dobre, będzie.

Uwaga. Zwracamy uwagę Czytelniczek, iż **Przedświt** wysyłamy najpunktualniej 5-go i 20-go — jeśli go kto nie otrzyma, to wina poczty. Prosimy zaraz reklamować. Reklamacya jako list otwarty, posyła się nieopłacana — tylko napisać powyżej adresu należy: *Reklamacya !*

☞ Do dzisiejszego numeru dołącza się drugi arkusz ENCYKLOPEDYI GOSPODARSTWA I PRZEMYSŁU DOMOWEGO. ☜

Odpowiedzialna redaktorka: *J. Sedlaczkówna.* **Wydawca:** *Bolesławicz.*

Z Drukarni E. Ostruszki, Lwów, Sykstuska 10.